

---

---

JANUSZ M. PALUCH

## ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ SZEMIOTH, PREZESEM ZARZĄDU KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU ZWIĄZKU SYBIRAKÓW

**J.P.:** Czy o Sybirakach można powiedzieć, że są Kresowianami?

A.S.: Zdecydowanie tak. Cały problem eksterminacji Polaków, w okresie II wojny światowej, po agresji sowieckiej 17 września 1939 r., skupił się na ludności zamieszkałej na Kresach, zarówno południowych, środkowych jak i częściowo północnych. Częściowo, bo Wileńszczyzna na początku tych wydarzeń była oddana pod nadzór rozszerzonego państwa litewskiego ze stolicą w Kownie, tzw. Litwie Kowieńskiej. Sowietom i Niemcy oddali im w swej łaskawości Wilno. Ale już w 1941 r. wywożono także Polaków z Wileńszczyzny. Cała ta ogromna przestrzeń, połowa przedwojennej Polski, była pod okupacją Związku Sowieckiego, który postanowił zlikwidować polskość na tym terenie. Eksterminacja skierowana była głównie przeciwko warstwom najbardziej świadomym narodowo. Chodziło im o inteligencję, ludzi posiadających cokolwiek, czy to byli przemysłowcy, czy obywatele ziemscy, a także wszelkie służby mundurowe – od kolejarzy poczynając, poprzez leśników i młodzieżowe organizacje mundurowe, po osadników wojskowych. Ci ostatni to żołnierze Marszałka Józefa Piłsudskiego, którzy walczyli w 1920 r. w wojnie z bolszewikami, a więc wrogowie numer jeden. To oni poszli na pierwszy rzut... Całe rodziny wywieziono 10 lutego 1940 r. w pierwszej, najstraszniejszej, zimowej, wywózce. Moja rodzina mieszkała na Wileńszczyźnie, ale jak się okazało, miejsce to znajdowało się zaledwie kilku kilometrów od granicy, która powstała między Białorusią a Litwą. Wśród wywożonych Polaków znaleźli się także tzw. *bieżenci* – uciekinierzy z centralnej Polski na Kresy. Na Kresy przenosiły się wtedy ważne strategicznie przedsiębiorstwa, biura, uciekały też pojedyncze rodziny. W dużej ilości uciekali też polscy obywatele narodowości żydowskiej. Zdążyli głównie w kierunku Lwowa i w pobliże granicy z Rumunią. Zamieszkiwali u krewnych lub w wynajętych mieszkaniach. Ale pod okupacją sowiecką nie było przyjemnie. Wielu na własną rękę przekraczało nielegalnie granicę z Generalną Gubernią. W końcu sowietom ogłosili, że jeśli ktoś chce wracać, powinien się zarejestrować. Więc się zapisywali czekając nocami w kolejkach. Jak już się wszyscy zapisali, podstawiono wagony, wsiedli i pojechali... Ale nie na zachód, tylko na wschód. To była wywózka w czerwcu 1940 r. Wtedy wywieziono 220 tys. osób, głównie w rejon Uralu.

**Dlaczego zatem Towarzystwo Sybiraków nie jest zespolone z innymi organizacjami Kresowymi? Powiedziałbym nawet, że jesteście zatomizowani, bo każde stowarzyszenie pilnuje i pielęgnuje tylko swoje problemy.**

To jest oczywiste. Towarzystwa kresowe zrzeszają dawnych mieszkańców poszczególnych obszarów Kresów z miast i małych miejscowości. Miejsce urodzenia, kraina młodości – miejsca utracone. To jest spójnia, która łączy ludzi w tych stowarzyszeniach. Natomiast zesłania syberyjskie były tak dramatyczną traumą, że jako wyznacznik i łącznik są dla nas znacznie silniejsze, niż wspólne sąsiedztwo. Dlatego Sybiracy tworzą odrębną organizację, bo to nie jest tylko, kwestia wysiedlenia, czy wyrzucenia, lecz całkowite wykorzenie i utrata ukochanych miejsc w dramatycznych warunkach, potem wieloletni pobyt na zesłaniu, w miejscach i warunkach, których do niczego nie można porównać. Dramat przeżyć syberyjskich bardziej łączy, niż miejsce urodzenia. Do dzisiaj dożyli ludzie, którzy wówczas byli dziećmi, i to małymi dziećmi. Przecież minęło 73 lata od pierwszych deportacji. Ci, którzy jeszcze kołaczą się po świecie, a jest nas mimo wszystko wciąż dużo, to są ludzie, którzy dopiero tam – na Syberii – świadomie zobaczyli świat. Nie na Wileńszczyźnie, czy pod Lwowem, tylko tam – na stepach, czy w tajdze. W naszym przypadku mamy do czynienia przede wszystkim z kombatanctwem, a w przypadku stowarzyszeń kresowych jest tylko utrata miejsca. Przyzna pan, że jest to zupełnie inna kategoria krzywdy. Choć jedna i druga są niewątpliwą krzywdą, ale ta, która nas dotknęła jest mocniejszą. Na zesłaniu trwaliśmy na krawędzi życia i śmierci. To są zupełnie inne wspomnienia, inne wrażenia, inne dramaty.

**Czy ta krzywda przykryła u Państwa tęsknotę za rodzinnym domem, miejscem urodzenia...**

Nie przykryła. Ona jest piętnem. Została piętnem na całe życie, co nie zmienia faktu, że każdy, kto już był dzieckiem trochę większym, pamięta miejsca rodzinne i wspomina je z wielkim rozrzewnieniem. Zauważa się to we wspomnieniach Sybiraków. Niemal każdy zaczyna od opisu wspaniałego dzieciństwa spędzonego w mieście albo na wsi, gdziekolwiek na Kresach, gdzie było najpiękniej, najweselej i najserdeczniej na świecie, a potem ta przepaść nędzy, głodu, strachu i wszystkich innych bardzo ciężkich przeżyć. Ta pamięć o miejscach rodzinnych jest ogromnie ważna i bardzo wiele osób, spośród Sybiraków, identyfikuje się też ze stowarzyszeniami kresowymi. Jednak przeszłość syberyjska jest nadrzędna w pamięci, szalenie wiąże ludzi, jednoczy. Nie są w stanie zrozumieć naszych przeżyć ludzie nawet najbardziej doświadczeni wypędzeniem. Gdy powstawał Związek Sybiraków zafascynowało mnie to, że ludzie przychodzący, żeby zapisać się do Związku, chcieli natychmiast opowiedzieć swój los. Przekrzykując się, opowiadali sobie nawzajem historie życia w malutkim pomieszczeniu. Każdy chciał ten los wyrzyczyć.

**Związek Sybiraków powstał w 1989 roku.**

Tak... Właściwie zaczęło się w grudniu 1988 r., kiedy to kilka dzielnych pań w Warszawie postanowiło stworzyć organizację skupiającą Sybiraków, w nawiązaniu do Związku Sybiraków powstałego w 1928 r., założonego przez dawnych zesłańców. Wtedy żyli jeszcze nieliczni już Powstańcy Styczniowi, byli też zesłańcy tzw. ruchów rewolucyjnych z początków XX w., w końcu żołnierze dawnej V Dywizji Syberyjskiej. Ci ostatni identyfikowali się z tym

Związkiem, choć nie byli zesłańcami. Związek działał do 1 września 1939 r. Dopiero po 60. latach mogła zostać podjęta próba reaktywacji jego działalności. Z tą jednak różnicą, że w naszym czasie ilość osób doświadczonych zesłaniem na Syberię jest nieporównywalnie większa. W całej Polsce zarejestrowało się około 100 tysięcy osób z przeszłością syberyjską. To ogromna rzesza ludzi, którzy przeżyli Syberię i okres Polski Ludowej. Dopiero w 1989 r. mogli powiedzieć oficjalnie, że tam byli. Przez cały czas trwania PRL nie mogli przyznawać się, że byli zesłańcami na Syberię.

### **Pani od samego początku była przy powstawaniu Związku Sybiraków w Krakowie...**

Prawie od samego początku... Inicjatorami Związku Sybiraków w Krakowie byli Tadeusz Wilczyński i Wiesław Krawczyński, więźniowie sowieckich łagrów, żołnierze Armii Krajowej. Wszystko zaczęło się takim malutkim ogłoszeniem prasowym w Dzienniku Polskim. Na ten anons zaczęli przychodzić tłumnie Sybiracy. W krótkim czasie było nas ponad dwa tysiące osób! Potem ta liczba się zmniejszyła, bo powstały oddziały w innych miastach. A przyjeżdżali do Krakowa z całej południowej Polski. Nie sądziłam, że są tu tak liczni. Najwięcej Sybiraków znalazło się na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdyż tam kierowano transporty z Rosji. Sama najpierw trafiłam do Szczecina. Ale tu w Krakowie? Nigdy się tego nie spodziewałam. W krakowskiej siedzibie Związku Inwalidów Wojennych na Placu Biskupim otrzymaliśmy możliwość korzystania z niewielkiego pomieszczenia. Tam, w naszej pierwszej siedzibie, odbywały się zapisy do Związku. To w tym pokoiku wszyscy chcieli opowiedzieć wszystko o swoich dramatycznych losach. To było zaskakujące, że o tej lawinie krzywd, która dotknęła tak wielu i tak dojmująco, chcieli opowiadać tym, którzy też wiedzieli czym było zesłanie na Syberię. Wszyscy chcieli rozmawiać i wymieniać się doświadczeniami z innymi zesłańcami. A dlaczego ja się tam znalazłam... Zostałam „zwerbowana” przez panów Wilczyńskiego i Krawczyńskiego. Poczulałam się zobowiązana i wyróżniona. W efekcie zgodziłam się kandydować do zarządu, ale pod warunkiem, że zajmę się dokumentowaniem zesłań. Uważałam, że skoro Opatrzność Boża pozwoliła mi wrócić z tej otchłani, to trzeba coś zrobić, żeby losy Sybiraków nie przepadły w pamięci Polaków. Tworzenie Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków trwało krótko, zaledwie około trzech miesięcy, od lutego 1989 r. Powstał zespół założycielski, prowadzono intensywne prace z wielkim zaangażowaniem. Do związku zapisywały się dwie odmienne kategorie osób – byli więźniowie łagrów sowieckich i byli deportowani do ZSRR. Przygotowania zaowocowały zwołaniem I Walnego Zebrania, na którym wyłoniono Zarząd i tak ukonstytuował się Związek Sybiraków Oddział w Krakowie. Zjazd odbył się 13 maja 1989 r., w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej (obecnie Uniwersytet Pedagogiczny), dzięki pani Zofii Ciesielskiej, pracownikowi naukowemu tej uczelni, która z oddaniem działała w zespole założycielskim (deportowana z Drohobycza). Pierwszym prezesem Zarządu został wybrany pan Wiesław Krawczyński, długoletni więzień łagrów, za przynależność do AK we Lwowie. Wspomniany już główny inicjator powstania Związku w Krakowie – pan Tadeusz Wilczyński, też ze Lwowa, był więziony w łagrach, także za AK. Kolejnym Prezesem Oddziału został pan Józef Halski – lwowianin i żołnierz AK, w łagrach był od

1944 do 1959 r., brał udział w buncie łągierników. Następnie, przez kolejne trzy kadencje, Prezesem był pan Jan Godzicki, z Wilna, za udział w AK więziony w łągach od 1944 do 1955 r. Po jego śmierci w maju 2011 r., od października tego roku, funkcję Prezesa Oddziału powierzono mojej osobie – też wilniance. Jak widać, kresowe pochodzenie jest wśród Sybiraków powszechne i jest mocnym łącznikiem, lecz przeżycia syberyjskie łączą bardziej. Wielu Sybiraków działa również w organizacjach kresowych – np. pani Danuta Trylska-Siekańska jest przewodniczącą Sekcji Kresowian przy Stowarzyszeniu Absolwentów UJ.

**Wiele osób nie chce o tych przeżyciach pamiętać i opowiadać. Chcą o tym koszmarze zapomnieć, odsunąć go w niebyt pamięci... Pani postanowiła inaczej. Postanowiła Pani przeżywać to raz jeszcze za siebie i wraz z innymi, którzy powierzali Pani swe sybirackie wspomnienia. Proszę opowiedzieć jak Pani trafiła na Syberię?**

Tak jak wszyscy, według z góry przygotowanych spisów, o czym nikt nie wiedział. Gdy zaczęła się okupacja sowiecka, wydawało się, że cały ten obszar ogarnął straszliwy chaos. Ze sowieckie porządki są nieprzewidywalne. A jednak w tym chaosie była metoda. To, co dla nas szykowano, było precyzyjnie przygotowane. Listy wywozowe były przez miesiące przygotowywane według kategorii społecznych. Moja rodzina należała do tej niedobrej kategorii *pamieszczikow* – właściciele ziemskich. W sowieckich warunkach to było najgorsze, co mogło być – krwiopijcy, *polskije pany!* Wywózka nie mogła nas ominąć. Mój Ojciec, oficer 5 Pułku Ułanów w stanie spoczynku, Mieczysław Szemioth, poszedł na wojnę, mój dużo starszy ode mnie przyrodni brat, Szymon Meysztowicz, jako świeżo upieczony podchorąży też został zmobilizowany do wojska. Moja Mama została z czwórką dzieci sama w dużym domu. Któregoś dnia przyszli sowieci. Park był pełen wojska. To wojsko nie było nawet najgorsze. Dowódcy trzymali ich trochę w ryzach. Natomiast groźne było NKWD, które natychmiast dało znać o sobie. Aresztowano moją Mamę i nianię, która jako jedyna spośród innych osób pracujących w naszym domu, została z nami. Cztery małe dziewczynki, zostałyśmy same w domu otoczonym przez sowieckie wojsko. Po kilku dniach niania i Mamusia wróciły. Potem były nieustanne rewizje, szukanie broni, dopytywania o miejsce pobytu ojca i brata. Rewizje zaowocowały konfiskatą biżuterii Mamy i wszelkich cennych przedmiotów. W końcu ewakuowano nas do folwarku odległego o kilka kilometrów. Wtedy przekroczyliśmy dla nas niewiadomą granicę. Mieszkaliśmy bowiem na terenie administrowanym przez państwo litewskie, a przenieśli nas pod administrację sowiecką w republice białoruskiej! Nikt z nas tego nie wiedział! I dlatego wywieziono nas 13 kwietnia 1940 r. Z Litwy wtedy jeszcze nie wywozili. To wszystko było przemyślane. To nie był przypadek ani chaos. Jesienią 1939 r. zrobiono tzw. wybory. To była farsa, pod przymusem kazano iść do urn wyborczych i wrzucać kartki. Farsa zaowocowała konkretnymi rezultatami. Wszyscy bowiem zostaliśmy obywatelami Związku Radzieckiego, białoruskiej albo ukraińskiej republiki, czego wynikiem było też wcielenie mężczyzn do Armii Czerwonej. Uważa się, że około 150 tys. Polaków wzięto wówczas do Armii Czerwonej!

**O tym problemie niewiele mówiono...**

Całe zagadnienie Polaków represjonowanych pod sowiecką okupacją ma bardzo wiele wątków, które zostały zaprzepaszczone w pamięci społecznej przez tzw. przyjaźń polsko-radziecką..., przez dominację Moskwy nad Polską

po wojnie. Dlatego tak mało się o tym wie i tak mało się mówi. Byłam kiedyś w Archiwum Akt Nowych, tam znajdują się kopie materiałów z archiwum londyńskiego pozyskanych przez Armię Andersa, dokumenty powstałe przy II Korpusie. Każdy żołnierz był przepytany skąd został wywieziony, kogo spotykał, gdzie przebywał. Tam należałoby posadzić kilkunastu młodych ludzi żeby robili kwerendy. Wtedy możnaby dojść do rzeczywistej ilości deportowanych i aresztowanych. Ciągłe problem ilości represjonowanych jest problemem otwartym i dyskusyjnym. Wielu polskich historyków przyjęło za dobrą monetę dane które przysły do nas z Moskwy za pośrednictwem Memoriału. To są tzw. spisy przewozowe, spisy ludzi deportowanych w poszczególnych transportach. Według tych spisów wywieziono 316 tys. osób. Natomiast wg polskich źródeł emigracyjnych, znawcy tematu obliczają liczbę deportowanych na co najmniej 850 tys.! Bezkrytyczne przyjmowanie rosyjskich danych jest wielkim błędem, bo Rosjanie – jak zawsze – dali to, co chcieli dać. To są dokumenty prawdziwe, ale zapewne niepełne. Przecież wróciło nas ok. 400 tys.! Niestety w dokumentach PUR są pomieszane dane, bo tak samo są traktowani ci wracający z zesłania jak i ci przemieszczający się z Kresów. Wróćmy jeszcze do tych wyborów... Wszyscy utracili obywatelstwo polskie, wszyscy mieszkańcy Kresów. Zaczęła się fala aresztowań. Do sowieckich więzień trafiło wtedy około 250 tys. mężczyzn. Bez końca szukali też mego Ojca i brata. Jeszcze w grudniu 1939 r. na Kremlu podjęto decyzję w kwestii deportacji Polaków. Na tej podstawie pierwsza wywózka, o której już mówiłam, odbyła się 10 lutego 1940 r. Wywożono całe rodziny – mężczyzn, kobiety i dzieci, starych, młodych – wszystkich. Luty, bardzo ostra zima. Ta wywózka była pierwsza, brak jakiegokolwiek przygotowania. Pełne zaskoczenie. Rozchodziły się plotki, że zabierają dzieci, że rozdzielają rodziny, co było na szczęście nieprawdą. Wywożono Polaków do rejonów o bardzo trudnych warunkach klimatycznych w północnej części europejskiej Rosji, w pobliże Koła Podbiegunowego – do republiki Komi w rejon Swierdłowska i dorzecza Dźwiny... Następną wywózka nastąpiła 13 kwietnia 1940 r. Wtedy wywożono przeważnie do Kazachstanu, głównie kobiety z dziećmi. I tam trafiłyśmy z Mamusią. Najstarsza z nas, Zofia miała 14 lat, następne Maria, Ludwika i ja, najmłodsza, miałam zaledwie 4 lata. Dramat mojej Mamy tak naprawdę dostrzegam dopiero po latach. Jakże to musiało być dla niej ciężkie i trudne. Jak myśmy to przeżyły?

**Nie sądzę, żeby Pani, jako czteroletnia dziewczynka, zapamiętała ten moment kiedy przyszli i kazali wam opuścić dom...**

Pamiętam, bo to były mocne wrażenia. To była noc, łomotanie do drzwi. Potem stali z bagnietami na karabinach, kilku oficerów NKWD kręcących się po domu, i oczywiście miejscowy cywil jako przewodnik, wywodzący się z mniejszości narodowej. Jak wspominają nasi Sybiracy, byli to albo Żydzi albo Ukraińcy. Żydzi wszędzie witali rosyjskie wojska z radością, to było widoczne, a oni tego nie ukrywali. Paradowali z czerwonymi kokardkami i cieszyli się na przyście wrogów. To bardzo przykre, ale ten akcent we wszystkich wspomnieniach jest wyraźnie podkreślany. Nie byli lojalni w stosunku do swego kraju, do Polski. Pamiętam przerażenie, chaotyczne zbieranie rzeczy, pakowanie, a czasu dali nam niewiele. Po tym pozostał mi lęk, strach i obawa. To było straszne przeżycie! Mamusia była uprzedzona, bo w przeddzień przyjechał ktoś znajomy, żeby powiedzieć, że coś się dzieje, bo sowieci szykują furmanki.

Naszą nianię wysłała pod jakimś pretekstem do jej krewnych. Nie chciała brać odpowiedzialności za jej los. Wywieźli nas do północnego Kazachstanu... Ale przejdźmy do następnego pytania. Ja nie lubię opowiadać o swoich losach. Są przykre. Nigdy ich nie spisałam i tego nie zrobię, bo fala cudzych losów tak mnie dotknęła... Wciąż prosiłam, by ludzie spisywali swe wspomnienia, potem je czytałam i przeżywałam za każdym razem bardzo indywidualnie ich dramaty. A w końcu ukazywały się książki. Te cudze losy mnie zdominowały...

**Jednak chciałbym się dowiedzieć o Pani życiu w Kazachstanie. Chyba, że Pani nie pamięta?**

Oczywiście pamiętam doskonale. Tego nie da się zapomnieć. To strach, obawa i głód, nieustanny głód. Północny Kazachstan. Step, który nie ma krańca po horyzont. Nie ma lasów, nie ma drzew, wobec tego nie ma opał. A co ważniejsze, nie ma budulca. Może mniej trudne tam było życie niż w tajdze, bo to jednak były tereny uprawne, czarnoziem, ale bardzo krótki okres wegetacyjny, więc nie było to nadzwyczajne rolnictwo, niemniej była żywność, ale dostęp do niej był bardzo ograniczony. Zawsze było za mało jedzenia. Tam gdzie nam kazali mieszkać, to był punkt na stepie bez nazwy. Wysadzono nas na małej stacji między Pietropawłowskiem a Omskiem, na trasie transsyberyjskiej. Potem ciężarówkami wieziono w bezdrożny step, do dość nowej osady bez tradycji. Były tam także wsie-kołchozy, które miały skonsolidowaną społeczność i jakąś tradycję. Mieszkańcy takich wsi wywodzili się z osadników z Ukrainy jeszcze z czasów carycy Katarzyny. A my trafiliśmy na trzeci oddział ogromnego sowchozu. Miejsce niezagospodarowane pod każdym względem. Mieszkaliśmy, chyba 20 rodzin z Polski, w ogromnym baraku z przewiewnymi ścianami wykonanymi z plecionki z łązy. Zbliżała się zima. A tam zmiany pór roku następują bardzo szybko. Sowchoz dał trochę drewna i wyznaczył miejsce, gdzie Polacy mogli sobie wybudować *ziemlanki*. Głównym budulcem była darń, czyli ziemia przerośnięta korzeniami roślin. W miejscach gdzie nie orano stepu darń była bardzo gruba. Wycinano bloki ziemi i budowano z niej mur, tak jak z cegieł. W środku klepisko, a drzewo z sowchozu służyło jako główna belka, kilka żerdzi przeznaczono na krokwie, trochę jakichś gałęzi i pokrycie dachu też z tej darni, sufitu nie było. Wszystko więc bardzo prymitywne. Z tym, że tamtejsi ludzie wkopywali *ziemlanki* w ziemię. U nas powstały prawie domy, nad ziemią. I to z inspiracji mojej Mamy. Mamusia całe życie cierpiała na astmę, miała lęk przed zamkniętymi przestrzeniami. Optowała za tym, żeby wybudować domy, a nie wkopaną w ziemię *ziemlankę*. To było trudne przedsięwzięcie. W rodzinach, gdzie byli mężczyźni, sami dawali radę. Cięli tę darń i murowali domy sami. U nas nie było takiej siły roboczej i Mamusia musiała za jakieś swoje ubrania wynająć człowieka. Stał w końcu dom, znalazło się jeszcze drewno na okna i dostaliśmy szyby, co w tamtych warunkach było wielkim luksusem i wydarzeniem. Nie było to ciepłe mieszkanie, zawsze w zimie na ścianach wewnątrz był szron. Jedna chata – *ziemlanka*, podzielona ścianą poprzeczną, służyła dwom rodzinom.

**Gdzie pracowała Mama? Czym zajmowali się tam ludzie?**

Mama i moje dwie starsze siostry, ta już 15-letnia i 13-letnia, musiały pójść do pracy. Te dziewczynki wprost z pokoju dziecinnego, nagle znalazły się na stepach Kazachstanu i musiały iść do dramatycznie ciężkiej pracy. Kazano im stać na wielkiej bronie ciągniętej przez duży gąsienicowy traktor i z paty-

kami w rękach musiały oczyszczać zęby brony z trawy. Pracowały na nocnych zmianach. Po niedługim czasie musiała także ciężko pracować trzecia z moich starszych siostr – Ludwika. Mamusia też pracowała, a że miała wątłe zdrowie, zaczęła więc chorować. Zajmowała się pojeniem bydła, przerzucała suszące się ziarno szuflą aby nie zapleśniało. Przy jej astmie było to bardzo ciężkie. A ja byłam mała... Wiosną, kiedy już zupełnie nic nie było do jedzenia chodziło się na zbieranie kłosów, jak już tajały śniegi. Na późną jesienią koszonych polach pszenicznych zawsze zostawało dużo kłosów. Zbieraliśmy te kłosa. To było zabronione, ale był taki głód, że już nikt na te zakazy nie zwracał uwagi. Kto mógł szedł i zbierał zakazane kłosa, żeby ratować siebie i swoją rodzinę przed śmiercią głodową. Ja chodziłam z Mamą. Było daleko, mokro i zimno. Ziemia pomatu miękła, ale zmarznięty śnieg kaleczył ręce. Spod tego śniegu wydobywało się kłosa. Byłam zmarznięta, głodna i bardzo nieszczęśliwa, a moja Mama – nadzwyczajna osoba – w trakcie tej trudnej pracy opowiadała mi książki dla dzieci, opowieści biblijne. Cała moja wiedza na temat lektur dla dzieci i młodzieży pochodzi z tamtych czasów. Później próbowałam czytać te książki, ale były dużo mniej ciekawe niż opowieści mojej Mamy. Kłosa w domu długo suszyłyśmy, potem wykruszałyśmy z nich ziarna. Ziarno jeszcze musiało się suszyć. Potem trzeba było czekać w kolejce do żaren. W całej osadzie były dwa komplety żaren. Normalne żarna są z kamienia, a tam nie było kamienia. Żarna były zrobione z dwóch kawałków pnia drzewa. Na powierzchni ścierniej w drzewo wbite były kawałki żeliwa. To mielenie było bardzo trudne, a poza tym dawało marny efekt. Z takich żaren wychodziła nie mąka, tylko kasza. Niemniej można to było jakoś ugotować i zjeść.

### **Jak wyglądał Wasz powrót do Polski?**

Byliśmy tam całe sześć lat. Kiedy w 1941 r. został podpisany układ Sikorski-Majski, ogłoszono amnestię i powstawało Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Władysława Andersa, był moment, w którym można było ruszyć w straszną podróż na południe, żeby dołączyć do oddziałów polskich. Kto mógł, starał się tam dotrzeć, zwłaszcza jeśli to były rodziny wojskowych. Byliśmy taką rodziną. Mój brat, jako podchorąży, dostał się do sowieckiej niewoli i trafił do obozu w Starobielsku. W armii sowieckiej nie ma podchorążych i oni nie wiedzieli, czy podchorąży to już oficer, czy jeszcze szeregowy. W pewnym momencie w Starobielsku wyselekcjonowano podchorążych i gdzieś ich wzięto. Bratu udało się wtedy uciec. Dotarł do Wilna, dowiedział się, że nas wywieziono. Zajął się przeprowadzaniem znajomych Polaków przez zieloną granicę z państwa litewskiego do Generalnej Guberni. Wpadł w pułapkę, zamknęli go w więzieniu w Grodnie a potem zesłali do łagru w Komi. Stamtąd dotarł do oddziałów Andersa i szybkim transportem dla marynarzy i lotników dojechał do Anglii. Służył w lotniczych dywizjonach w Wielkiej Brytanii. Po przeszkoleniu latał na myśliwcach, a po wojnie osiadł w Australii. Mama napisała list do Ambasady Polskiej w Kujbyszewie. Odpowiedź przyszła z Pietropawłowska od przedstawiciela naszej ambasady, z informacją, jak bardzo trudno jest cywilom, którzy dotarli do Armii Andersa, że umierają tam z głodu i na tyfus oraz radą aby pozostać na miejscu. Mama miała wtedy też kontakt z Ksawerym Pruszyńskim, który był w Kujbyszewie i pisał do ukazujących się po polsku gazet. Była z nim spowinowacona, kiedy więc zobaczyła jego artykuł w polskiej prasie, natychmiast do niego napisała. To bardzo dziwne, że w tych

ogromnych przestrzeniach jednak jakieś kontakty można było nawiązać. Ksawery potwierdził informacje jakie Mama dostała z Pietropawłowska. W rezultacie zostaliśmy i w sowchozie byliśmy przez całe sześć lat! Żyliśmy ciąglą nadzieją na powrót. Gdyby nie ta nadzieja, to nie wiem, czy wytrzymałibyśmy to wszystko psychicznie. Czepialiśmy się wszelkich pogłosek, że już, już będziemy mogli wrócić do siebie... W końcu wojna się skończyła, a myśmy dalej tam trwali. W 1946 r., też 13 kwietnia, wyruszyliśmy z naszej osady w drogę powrotną do Polski. W międzyczasie, w 1943 r., moja najstarsza siostra, która skończyła już 18 lat, odmówiła przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, za co skazana została na dwa lata łagru. Z tysiącem innych Polek była w łagrach za Bajkałem. Pracowała w brygadzie, która ścinała olbrzymie cedry na stromych stokach tamtejszych gór. Straszna praca, szczególnie dla takich młodych dziewcząt. Wytrzymała wszystko, mimo że ciężko chorowała na tyfus, wróciła do nas po dwóch latach. Do innej Polski, już nie do własnego domu, wracałyśmy w komplecie, razem. Zawieźli nas do Szczecina. Dzięki pomocy Polskiego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) dowiedzieliśmy się, że nasz Ojciec jest w Lidzbarku Warmińskim. Wojnę przetrwał w oflagu na Litwie, skąd uciekał, był kilkakrotnie aresztowany. W 1945 r. znalazł się w fali uchodźców i zamieszkał w Lidzbarku Warmińskim. Przenieśliśmy się tam, a potem dzięki rodzinie znaleźliśmy się w Krakowie. PUR to była doskonale działająca instytucja na ten czas wędrówki ludów! Polska była przesunięta w granicach, zniszczona wojną. Przecież setki tysięcy ludzi przemieszczało się z Kresów, poszukiwało rodzin których wojna wymiotła nie wiadomo dokąd, a do tego przybywały z Syberii setki tysięcy zesłańców, wygłodzonych, schorowanych, pozbawionych domów i jakiegokolwiek dobytku. Byliśmy jednak pełni radości, choć z pustymi rękami. Wtedy, w kraju dla wszystkich udało się znaleźć miejsce, choć było to trudne. A teraz nie można sprowadzić do Ojczyzny tych Polaków, którzy tam jeszcze pozostali. To jest sprawa, która mnie oburza! Niby wolna Polska, a nie może się zdobyć na tak oczywisty gest!

**Kiedy wróciła Pani do Polski, przeżyła Pani kolejny cywilizacyjny przeskok.**

Miałam wtedy 10 lat. W takich ekstremalnych warunkach, przez jakie przeszłam szybciej się dojrzeć. Obecne 10-latki, to dzieci nic nie wiedzące o życiu. Czułam się wtedy już dość dorosłą, ale powrót do cywilizacji był dla mnie bardzo mocną rzeczą. Pamiętam zrujnowany Szczecin, spotkanie z Ojcem, którego nie poznałam, zrujnowaną Warszawę. Mama prowadziła mnie do katedry św. Jana, która była przecież całkowicie zniszczona. Prawie nienaruszona została tylko kaplica z cudownym krucyfiksem z ukrzyżowanym Panem Jezusem. Ludzie wędrowali wydeptanymi ścieżynami przez zrujnowaną Warszawę, żeby tam, przed tym krzyżem się modlić. No i Kraków w roku 1946, nietknięty wojną, piękny, bogaty z zasobnymi jeszcze sklepami. Inny świat! Nie potrafiłam tego ogarnąć. Ktoś nierozważny zaprowadził mnie do Teatru im. Juliusza Słowackiego na „Sen nocy letniej”. Sam gmach wspaniały, piękna scenografia, zapierająca dech w piersiach kurtyna Henryka Siemiradzkiego. Tyle emocji, myślałam, że nie udźwignę wrażeń! Nie wolno było tego robić dziecku wychowanemu na stepie!

**Ale to dziecko poszło do szkoły i musiało uważać, żeby się nie przyznać do swej sybirackiej przeszłości...**



Do 1948 r. nie było jeszcze tak źle. Przyjechałyśmy mało świadome zmian jakie nastąpiły w Polsce. Wtedy te sprawy się nie liczyły, dominowała radość z powrotu. Potem były wybory „trzy razy tak”. Rodzice poważnie zastanawiali się jak do tego podejść. Jeszcze nie zdawali sobie sprawy z tego, że to wszystko fikcja. Pętla się zacieśniała. Pomału wszystko stawało się inne. Cóż, ja wciąż byłam dzieckiem i nie byłam jeszcze w stanie tego dostrzegać i oceniać. Byliśmy na cenzurowanym jako przedstawiciele niszczonej warstwy, posiadaczy ziemskich. I chociaż nie mieliśmy przecież już nic, to cały czas byliśmy nie tacy jak trzeba. Byłam w kilku szkołach podstawowych, potem skończyłam liceum żeńskie im. Joteyki na ul. Podwale w Krakowie. Byłam jedyną w klasie, która się nie zapisała do ZMP. Pocziwe nauczycielki na korytarzu szeptem mówiły mi, żebym się zapisała, bo się nie dostanę na studia. A ja mówiłam, że nie chcę, bo wiem co to jest, widziałam to w Kazachstanie. Czułam się dziwnie w otoczeniu dziewcząt z krakowskich rodzin, które nie były tak wyraziście dotknięte wojną. Wydawały mi się niesłychanie dziecinne. Inne niż ja. Nie kryłam się ze swoimi przeżyciami, ale to była dla nich abstrakcja. One przeżywały przykrość niemieckiej okupacji i opowiadały, jak było bardzo ciężko, bo nie było deseru na obiad. Skończyłam studia, Wydział Geologii na Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie, choć moją pasją zawsze była i jest historia sztuki. W pracy proponowano mi zapisanie się do partii. Wtedy też mówiłam, że byłam na Syberii i wiem na czym to polega, zatem więcej już mnie nie namawiali. I udało się przejść bez tego przez lata PRL-u, działać w Solidarności i doczekać Związku Sybiraków!

**Przejdźmy zatem do najważniejszego dzieła Pani i Komisji Historycznej krakowskiego Związku Sybiraków. To 14 tomów wspomnień wydanych w serii „Sybiracy. Tak było”.**

Podczas większych spotkań namawiałam Sybiraków do spisywania wspomnień gdyż powinno się zostawić ślad po naszej katordze. W końcu zaczęli pisać. Rękopisy trafiały do naszej Komisji Historycznej. W pewnym momencie uznałam, że skoro tych materiałów jest już tak dużo, to trzeba je uwolnić z zamkniętej szafy. Próbowałam zainteresować tymi materiałami różne wydawnictwa, bez efektu. O zesłaniach carskich powstawały tomy literatury, obrazy słynnych artystów, publikowano ich wspomnienia. Nasze zesłanie pozostało w niepamięci. Brakowało chętnego wydawcy – na naszym zesłaniu trudno zarobić... W takiej sytuacji postanowiliśmy zrobić to sami, bez pieniędzy. Pojechałam do Warszawy, do pana Andrzeja Przewoźnika przewodniczącego Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa. Udało się go przekonać i otrzymywaliśmy co roku niedużą kwotę na druk i papier. Wydawaliśmy po jednej, najwyżej dwie książki w roku. Przepisywanie, redagowanie tekstu, opatrywanie go przypisami, to była nasza praca. Wydaliśmy 14 tomów w serii „Tak było. Sybiracy” ze wspomnieniami ok. 55 autorów. To nie jest literatura wielkiej klasy, ale z pietyzmem podchodziliśmy do tych tekstów, bo są one rzetelnym przekazem. Tam nie ma fantazji, są prawdziwe opisy realnych spraw. Wydaliśmy też dwa tomy materiałów źródłowych, w których zaprezentowaliśmy zasoby naszego archiwum, i osobno zbiór listów. Oprócz tego wydaliśmy też książkę opowiadającą o Sybirakach carskich w Krakowie. To zbiór biogramów osób, które po zesłaniu za udział w powstaniu Styczniowym osiadły w Krakowie. Ten tom opracował członek Komisji Historycznej, nie żyjący już, Antoni Ratyński.

**Czy praca komisji trwa nadal?**

Wydawniczo chyba na tym się skończyło. Brakuje nam siły. Nie ma też pana Andrzeja Przewoźnika. Mam nadzieję, że to, co jeszcze mamy do wydania, zostanie kiedyś przejęte przez kogoś i z pożytkiem wykorzystane. Praca Komisji Historycznej, którą kieruję, trwa od 1989 r. – to już 23 lata! Zespół Komisji to wspaniałe osoby, które poświęcają tej pracy swój czas, energię i umiejętności. A te osoby to Teodor Gąsiorowski, Anna Gęgotek, Stella Goldgart, Małgorzata Kaplita, Anna Semkowicz, Bożena Stojanowska-Rajchman, Leopold Walczewski, Agnieszka Winiarska, Zofia Zemla i Janusz Żuławski. Z naszego zespołu odeszli już do wieczności Helena Szczerbińska, Janina Kisiel i Antoni Ratyński.

**Zatem co dalej?**

W tej chwili powstaje duże muzeum sybirackie w Białymstoku przy Muzeum Wojska Polskiego. Zwrócili się do nas z prośbą o przekazanie naszych zbiorów archiwalnych. Wolałabym aby zostały w Krakowie i służyły pracom badawczym i dydaktycznym krakowskich uczelni. W oparciu o nasze materiały powstało już sześć prac magisterskich i kilka doktorskich. Przychodzą też uczniowie szkół średnich i zbierają materiały do różnych konkursów. Poza tym w Krakowie powstała nowa instytucja – Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń przy Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej. Dostali siedzibę w forcie w Skotnikach, trochę na uboczu. Pracują tam młodzi historycy. Czy ich zapał zdoła ogarnąć tak szeroki tematycznie zakres badań? To jest ogromna przestrzeń! Np. wysiedlenie całej Gdyni przez Niemców i innych miast, wysiedlenie wszystkich mieszkańców Kresów, czy to udokumentują? Życzę im jak najlepiej. Na razie zajęli się ciekawą sprawą o dalekim zasięgu. Jeżdżą po różnych miejscach świata i odszukują ludzi, których Anders uratował jako dzieci w 1942 r. Wywiózł ich na Bliski Wschód, a potem rozpieczętował po całym świecie. To jest bardzo dobre działanie. Takie zainteresowanie należy się Polakom – wiecznym emigrantom. Byli na zesłaniu tylko dwa lata, potem odżyli jako ludzie, ale utracili kontakt z krajem na zawsze. To też było dla nich ciężkie doświadczenie. Te kontakty są teraz ich wielką radością. Przekazują swoje pamiątki, mówią o swoim losie. Ale to jest tylko fragment problemu. Być może Centrum to będzie miejsce docelowe dla naszego archiwum, ale jeszcze musimy poczekać, zobaczyć w jakim kierunku ich prace badawcze pójdą. Bardzo się cieszę, że młodzi ludzie zajęli się tą trudną problematyką.

**Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę\*.**

---

\* Jest to przedruk (po dodatkowej adiustacji autorskiej) wywiadu opublikowanego w czasopiśmie „Cracovia Leopoldis” – nr 74/2013.